Rok XXV. We Lwowie, dnia 10. maja 1918. Nr. 19.

Gazeta Kościelna

Przedpłata: roczna . 17·— K
półroczna 9·— „
kwartalna . 4·50 „
Rękopisów, przyjętych do druku, Redakcya nie zwraca.

PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM KOŚCIELNYM I SPOŁECZNYM.
ORGAN TOWARZYSTWA WZAJEMNEJ POMOCY KAPŁANÓW.
Wychodzi każdego piątku.

Redakcya, Administracya i Ekspedycya:
X. Dr. A. PECHNIK, Sykstuska 54.
Inseraty przyjmuje się za opłatą 30 h. od wiersza petitu.
Reklamacye otwarte wolne są od opłaty pocztowej.

W trosce o dziennik katolicki.

Zdaje mi się, że polskie duchowieństwo i dwóch innych zaborów odczuwa u siebie ten sam brak dziennika katolickiego, o który czynimy starania już od dziesiątek lat my tu w Galicyi. Podnosimy tę sprawę ponownie. — Odezwa, która z początkiem roku pojawiła się na łamach „Gazety kościelnej", napisana z głębokiem odczuciem potrzeby dziennika katolickiego w kraju, poparta dołączonymi wywodami i argumentami Szan. Redakcyi, tchnęła taką niezwykłą i niezłomną wiarą, że zdawało się, iż kwestya ta, jako wysoce aktualna, znajdzie teraz należyte zrozumienie[1]). Lecz po upływie 3½ miesięcy oświadcza Czcigodny jej Autor z rezygnacyą — niestety zawiedliśmy się![2]).

Rzeczywiście podniesiony apel za słaby wydał rezultat. W myśl rzuconego projektu miał każdy z kapłanów wszystkich dyecezyi galicyjskich, nie licząc zakonnych, złożyć na ten cel co najmniej sto koron. Tymczasem według wykazu „Gazety kościelnej" poszło za tym głosem tylko dwudziestu kapłanów zamiast dwóch tysięcy. — Nadto zaledwie 7 kapłanów złożyło ponad 100 koron, reszta zaś nadesłała drobne kwoty po 3, 4, 5 kor., niektórzy po 20, 30 i 50 koron. Tak, że cała suma wynosiła z końcem kwietnia zaledwie 6091 K 70 h[3]). — Pomiędzy zgłoszonymi znajdujemy dwóch kanoników katedralnych, dwóch prałatów-proboszczów, cztery klasztory, resztę zaś stanowią z małymi wyjątkami XX. proboszczowie na małych probostwach i XX. wikarzy.

Ten niepomyślny — jak dotąd — wynik podjętej próby odczuwa się tem boleśniej, że w tym samym czasie podnieśli ją z lepszym skutkiem nasi sąsiedzi — Węgrzy. Jak bowiem swego czasu doniosły dzienniki, węgierskie sfery katolickie postanowiły powołać do życia akcyjne przedsiębiorstwo wydawnicze, mające za zadanie w pierwszym rzędzie wydawanie katolickiego dziennika. Zakładowy kapitał miał wynosić 5 do 10 milionów koron. Przyjęto typ angielsko-amerykański i oznaczono jedną akcyę na 25 K, a wraz z wpisowem na 26 K. Chciano tym sposobem umożliwić wzięcie udziału w podjętej akcyi jak najszerszym warstwom społecznym. Skutek był taki, że w przeciągu jednego miesiąca, od 15. stycznia do 15 lutego zgłoszono około cztery miliony koron. Ile w tej sumie złożyła arystokracya, jaką kwotą przyczynił się episkopat, ile złożyli duchowni, a ile świeccy, o tych szczegółach nie mogliśmy się jeszcze dowiedzieć. Olbrzymia suma zebrana w tak krótkim przeciągu czasu na cele ideowe, świadczy wymownie, jak katolicy węgierscy rozumieją potrzeby czasu. Zapewne przyczynić się musiał do tego szeroko rozgałęziony ruch polityczno-społeczny, który rozpoczęty w latach 90-tych, składa się dziś z katolickiej partyi ludowej, ze Związku stowarzyszeń w liczbie ponad 1000, ze Związku ludowego, liczącego obecnie 400.000 członków, licznych patronatów młodzieży, ruchu kobiecego, spółek współdzielczych i dorocznych wieców katolickich. Potężna organizacya katolicka nadała rozmachu rzuconemu hasłu i uwieńczyła je tak pomyślnym rezultatem.

My zdobyliśmy się tylko na sześć tysięcy koron! Kwota tej wysokości równa się prawie zeru, zwłaszcza wobec dzisiejszej drożyzny i obfitości pieniądza.

Nie jest mi wprawdzie znany bliżej plan nowej zainicyonowanej akcyi, lecz o ile można było wywnioskować z odezwy, miał się złożyć ze 100-koronowych udziałów kapitał w kwocie 200.000 koron. Jako były kilkoletni wydawca czasopism peryodycznych i jednego z dzienników krajowych, musiałbym wobec takiego obliczenia oświadczyć, że kwota jej wysokości jest dla założenia po-

[1]) Por. Gaz. kośc. nr. 2 str. 13.

[2]) Gaz. kośc. nr. 16 str. 183.

[3]) Cały fundusz prasowy, gromadzony przez nasze Tow. wzaj. kapłanów od czasu powstania tego Towarzystwa, wynosi obecnie 14.143 K 30 hal. (Dop. red.).

ważnego dziennika stanowczo za nizka. Koszta wydawnictwa poszły niesłychanie w górę. Zresztą na głazy trzeba silniejszych nabojów. Dlatego gdyby mi przyszło podać wysokość zakładowego kapitału, z oszczędnością administrowanego, obliczyłbym go co najmniej na jeden milion koron, z czego połowa musiałaby być spłaconą przed rozpoczęciem wydawnictwa. Kapitału takiego nie uzyska się w naszych stosunkach zapomocą odezwy lub luźnych stowarzyszeń. Tu znaleźć się muszą najpierw jednostki, które akcyą pokierują, nawiążą stosunki z czynnikami miarodajnymi i osobistem staraniem zyskają znaczniejsze grono akcyonaryuszów, którzy do akcyi z odpowiednim przystąpią kapitałem.

Postulat, że wszyscy Konfratrzy we wszystkich dyecezyach galicyjskich powinni przystąpić jako akcyoaryusze, uważam za utopię. Wiadomo bowiem, że księża u nas nie stanowią jednolicie zwartego obozu. Jedni sympatyzują z konserwatystami, inni z narodowymi demokratami, inni z ludowcami; — mamy księży konserwatywno-katolickich i chrześcijańsko-społecznych, a wreszcie wielu obojętnych. Nie chcę czynić komukolwiek jakiegoś zarzutu z tego powodu, lecz tylko zaznaczyć znaczną wśród duchowieństwa rozbieżność poglądów.

Kiedy przed paru miesiącami jeden z księży rozpoczął czynić starania około założenia tygodniowego pisma i zwrócił się w tej sprawie do wybitniejszych księży „działaczy“, wynik owych zabiegów według jego własnych słów był następujący: jeden odpowiedział mu na wszystko ni w pięć ni w dziewięć, drugi nadesłał dwa telegramy i dwa listy, ale na tem się skończyło, trzeci na propozycyę się oburzył, czwarty oświadczył, że w żadną akcyę nie wierzy, tak że wszystko skończyło się na niczem.

Gdy przed paru laty osiągnięto w Krakowie już tyle, że cztery pisma były zjednoczone w jednych rękach, a między temi jeden dziennik, wtedy zamiast poparcia i materyalnej pomocy, usunięto głównego inicyatora akcyi ze zarządu, zarzucono demokratyczny program chrześcijańsko-społeczny, a oddano się na usługi stronnictwa, stojącego poza ruchem katolickim...

Sprawa założenia i prowadzenia dziennika katolickiego na szczególniejsze natrafia trudności, — lecz musimy te zapory złamać, jeśli mamy zbliżyć się do zamierzonego celu. *X. Dr. A. Mylkowicz.*

Spowiednik zakonnic i zakonników

według nowego kodeksu prawa kościelnego.

Z pojęcia sakramentu pokuty wynika, że żaden kapłan nie może być sędzią w trybunale pokuty i rozgrzeszać penitentów, jeżeli nie ma do tego zwyczajnej lub zleconej władzy (ordinaria vel delegata iurisdictio — por. Sobór Trydencki Sess. XIV. cap. 7 de poenit). W praktyce domagał się Kościół dość długo, by penitenci spowiadali się *„proprio sacerdoti“* (Com. Latec. IV. cap. 21), u swego proboszcza, lub u innego kapłana za jego zezwoleniem. „Si quis autem alieno sacerdoti voluerit iusta de causa sua confiteri peccata, licentiam prius postulet et obtineat a proprio sacerdote, cum aliter ille ipsum non possit absolvere vel ligare“. (Conc. Later. IV. cap. 21); przynajmniej wielkanocna spowiedź miała się odbywać, o ile to było możliwe, w swoim parafialnym kościele, podobnie jak Komunia wielkanocna. Ale od dawna już odstąpił Kościół od tej praktyki i dozwala obecnie spowiadać się każdemu świeckiemu u każdego kapłana, mającego juryzdykcyę, nawet poza swą dyecezyą. Kościół pragnie w ten sposób dać wiernym jak najwięcej swobody i nie krępować ich w wyborze spowiednika i przewodnika duchownego i ceni tę swobodę wyżej, niż dawny rygor w wyborze spowiedników.

I.

Dla zakonnic przepisał Kościół, by dla każdego klasztoru był wyznaczony t. z. zwyczajny spowiednik (confessarius ordinarius), który jedynie miał dla nich aprobatę i juryzdykcyę, tak, że spowiedź u innego kapłana była nietylko illicita, ale i invalida. Tylko kilka razy do roku zastępował go t. zw. nadzwyczajny (extraordinarius) spowiednik. Te przepisy obowiązywały per se tylko klasztory zakonnic sensu stricto (moniales), t. z. tych, które składają vota solemnia, ale przez analogię stosowano te same przepisy także do zgromadzeń żeńskich, które składają tylko śluby zwyczajne lub czasowe (sorores congregationum votorum simplicium). Kościół trzymał się tej surowej praktyki i ograniczał znacznie swobodę zakonnic, by zapewnić zgromadzeniom zakonnym jednolity duchowny kierunek, tak ważny dla życia wspólnego i ułatwiający dążenie do doskonałości. Ale ta praktyka miała niewątpliwie i strony ujemne: ograniczała zbytnio wolność sumienia zakonnic, utrudniała niejednej szczerość wobec spowiednika, do którego nie miała zaufania, mogła stać się nieznośnym ciężarem dla niejednej duszy, a nawet dać podnietę do nieszczerych a może i świętokradzkich spowiedzi. — Nic też dziwnego, że Kościół ułatwiał w ostatnich latach coraz więcej zakonnicom spowiedź u innych kapłanów i czynił coraz częściej wyłomy w bezwzględnej dawniejszej praktyce. Bardzo daleko idące ułatwienia dał w tym względzie dekret Kongregacyi de Religiosis z 3. lutego 1913. (Acta Apost. Sedis V. 62 sqq.).

Nowy kodeks opiera się na wyżej wymienionym dekrecie i daje jeszcze dalej idące udogodnienia (Lib. II. p. II. tit. X. cap. de confessariis et capellanis *kan. 520—527)*. Przepisy tego kodeksu odnoszą się nie tylko do klasztorów zakonnic sensu stricto (monialium), ale i do zgromadzeń o ślubach zwyczajnych, a nawet bez ślubów (religiosarum domus, kan. 520 § 1). Wyżej wymieniony dekret Kongregacyi de religiosis wyraźnie powiada, że przepisy o spowiedniku zakonnic odnoszą się do domów „religiosis mulierum familiis votorum cum sollemnium, tum simplicium, ac Oblatis aliisque piis communitatibus, quae nullis votis obstringuntur, etiamsi instituta sint tantum dioecesana. Obligat etiam communitates, quae in praelati regularis iurisdictione sint“ (n. 16).

Zasadniczo ustanawia kodeks, zgodnie z dawnem prawem, dla każdego domu jednego spowiednika zwyczajnego, ale dozwala na wyznaczenie dla każdego domu dwóch a nawet i więcej spowiedników, bądź to z powodu większej liczby zakonnic, bądź też z innej słusznej (iusta) przyczyny (kan. 520 § 1). Jeśliby która zakon-

nica pragnęła mieć stałego osobnego spowiednika zwyczajnego, należy go dla niej przeznaczyć, biskup ma jednak dołożyć starań, by z tego powodu nie było nadużyć nadużycia zaś usuwać „caute et prudenter, salva conscientiae libertate“ (kan. 520 § 2). Tak samo postanawia kodeks (kan. 521 § 1), by dla każdego domu zakonnego wyznaczono spowiednika nadzwyczajnego; przynajmniej cztery razy do roku musi on odwiedzić klasztor, a wszystkie zakonnice mają się do niego zgłosić albo do spowiedzi, albo przynajmniej „benedictionem recepturae“.

Ażeby ułatwić zakonnicom w każdej chwili spowiedź u innego spowiednika, powinien biskup wyznaczyć dla każdego domu zakonnego kilku kapłanów, u których mogą się zakonnice spowiadać. Przełożona domu nie może im tego utrudniać, ani pytać się ich o przyczynę, dlaczego nie spowiadają się u zwyczajnego spowiednika (kan. 521 § 2 i 3).

Prócz tego może każda zakonnica „ad suae conscientiae tranquillitatem“ spowiadać się tak w domu jak i poza domem, w kościele lub kaplicy (etiam semipublica) przed każdym kapłanem upoważnionym do spowiedzi kobiet i nie ma obowiązku nikomu się z tego tłumaczyć; przełożona zaś nie może się do tej sprawy zupełnie wtrącać (kan. 522). To samo prawo przysługuje (kan. 223) chorym zakonnicom, chociażby ich choroba nie była niebezpieczną. A fortiori mogą się oczywiście spowiadać u każdego kapłana in periculo mortis.

Spowiednika zwyczajnego i nadzwyczajnego wyznacza biskup; jeżeli jednak klasztor podlega władzy przełożonego zakonu męskiego, to ten przedstawia spowiednika biskupowi, a biskup daje mu potrzebną juryzdykcyę. Gdyby przełożony nie wyznaczył spowiednika, wyznaczy go sam Ordynaryusz (kan. 525). Kardynałowie mają przywilej słuchania spowiedzi zakonnic wszędzie (kan. 239 § 1). Spowiednikiem może być kapłan świecki lub zakonnik (za zezwoleniem swego przełożonego), który posiada odpowiednie kwalifikacye. Powinien mieć przynajmniej 40 lat, o ile biskup dla słusznej przyczyny nie postanowi inaczej (kan. 524 § 1). Nie może mieć nad zakonnicami, których jest spowiednikiem, żadnej władzy in foro externo i nie wolno mu się wtrącać do zarządu klasztoru (kan. 524 § 1 i 3). Ma jednak (kan. 514 § 2) prawo i obowiązek udzielania chorym zakonnicom Wijatyku i Ostatniego Pomazania. Biskup ustanawia spowiednika zwyczajnego na przeciąg trzech lat (ad triennium); może jednak przedłużyć jego władzę na drugie, a nawet trzecie triennium albo na własną rękę (jeżeli nie znajdzie innego odpowiedniego kandydata), albo też za zgodą większości wszystkich zakonnic, które głosują per vota secreta. Te, które nie zgadzają się na przedłużenie władzy spowiednika, mają prawo żądać dla siebie innego (kan. 525). Spowiednik zwyczajny nie może też być wyznaczony bezpośrednio po ukończeniu swego terminu na nadzwyczajnego, natomiast może nadzwyczajny bezpośrednio po ukończeniu swego terminu „awansować“ na zwyczajnego (kan. 524 § 2). Biskup może usunąć z ważnej przyczyny spowiednika tak świeckiego, jak i zakonnika, także w czasie jego urzędowania; nie ma też obowiązku tłumaczyć się przed nikim, dlaczego go usunął, chyba, gdyby Stolica Apostolska (do której ma spowiednik prawo rekursu na podstawię kan. 880), o to zapytała; przełożonemu zakonnemu, któremu podlegają zakonnice, ma tylko donieść o usunięciu spowiednika. (kan. 527).

(Dok. nast.). *X. Dr. A. Gerstmann.*

Z Odesy.

(Dokończenie).

Jak wyżej wspomniałem, interesy ekonomiczne prawie wyłącznie pochłaniają inteligencyę odeską polską, a także rosyjską. Patryotyzm Rosyanom jest prawie obcy, to też nic dziwnego, że wstępujące do miasta wojska austryackie witano bardzo życzliwie, a delegatów pokojowych dzień wprzód wysłanych do Odesy — nawet radośnymi okrzykami.

Stosunek ten zaczął się zmieniać na gorsze od chwili, kiedy spostrzeżono, że Austryacy wywożą produkta, skutkiem czego mogłoby, jak sądzą, zabraknąć im żywności dostatecznej.

Nie chcą oni i nie mogą zrozumieć, że nic, zwłaszcza w polityce, nie robi się za darmo i że za przywrócenie porządku, do którego znaczna część, a w każdym razie najporządniejsza mieszkańców, z utęsknieniem wzdychała, trzeba zapłacić.

A teraz może najciekawsza kwestya: jak Odesa odnosi się do nowoutworzonej Ukrainy i przyłączenia jej do niej?

O ile wnosić można z wcale nie zorganizowanej opinii, zdaje się, że okupacya Ukrainy przez Austryę i Niemcy byłaby przyjętą, jeśli nie radośnie, to spokojnie. Mimo wojny, Rosyanin zawsze uważa Niemca za kogoś wyższego od siebie, rozumniejszego, od którego on i jego ziomkowie wiele mogą się nauczyć i który potrafi stosunki jasno i mądrze uporządkować.“

Natomiast Ukrainy on nie uznawał i nigdy nie uzna, uważając ją za coś nierealnego, a w każdym razie za coś znacznie niższego od Rosyi. Stworzenie więc Ukrainy wywołać może niezadowolenie i rozgoryczenie i wiele chyba czasu trzeba będzie, aby ludność zamieszkała na Ukrainie — istnienie Ukrainy uznała.

Ukraina nie ma też obecnie liczniejszego grona ludzi poważnych i rozumnych, którzyby rządy kraju mogli sprawować — to też rząd ukraiński w swoim składzie dzisiejszym niema ani powagi ani posłuchu, a traktuje się go raczej ze strony humorystycznej. Po niemiecku Rosyanin chętnie będzie się uczył, po ukraińsku nigdy. Ukraińców zaś mówiących po ukraińsku w Odesie jest co najwyżej 1% i to wśród warstwy najuboższej. Dla ewentualnej aneksyi grunt jest podatny.

Odezwy austryackie głoszą, iż nie w celach zaborczych, lecz dla przywrócenia porządku i to na żądanie rządu ukraińskiego państwa centralne wkroczyły na Ukrainę; to też nie na Austryę, lecz na Ukrainę w pierwszym rzędzie powstaje ludność rosyjska za to właśnie, że sprowadziła Austryaków, a rozgoryczenie się zwiększa, gdy napisy na gmachach publicznych rosyjskie zastępuje się pospiesznie ukraińskimi.

To też sądzę, że po ustąpieniu radości z powodu przywrócenia porządku przez Austryę, ludzie z nienawiścią tem większą zwracać się będą przeciw Ukrainie i nie wydaje mi się rzeczą wykluczoną, że przez specyalne deputacye prosić będą państwa centralne o zatrzymanie okupacyi a nie stwarzanie Ukrainy. Oczywiście jakikolwiek rząd i ład nie podoba się szumowinom społeczeństwa — które reprezentują bolszewicy i wiedzą one dobrze, że ani po 200 rb. za 8-godzinny czas pracy, a raczej bezczynności pobierać nie będą, ani też bezkarnie rabować spokojnych mieszkańców nie będzie można nadal; liczą one zapewne na ewentualną pomoc chłopów, którzy znów obawiają się słusznie, że zabraną właścicielom ziemię i inwentarz będą musieli zwrócić.

Sądzę jednak, przypatrując się przez rok cały rewolucyi, że wszelkie samowolne wystąpienia grup nienależycie zorganizowanych, a Rosyanie zorganizować się nie potrafią, przeciw jakiejkolwiek armii regularnej, nie mogą liczyć na najmniejsze powodzenie, zwłaszcza wobec zupełnego braku ducha bohaterskiego u Rosyan, trzymanych długie wieki pod knutem.

To też sprawa krajów okupowanych będzie zdaniem mojem zadecydowaną na właściwem miejscu i w czasie odpowiednim, a naród rosyjski mniej więcej spokojnie pogodzi się ze swoim losem.

Na zakończenie jeszcze słówko o kościele katolickim w Odesie. Mamy tam dwa kościoły i dwie kaplice. Kościół główny w centrum miasta, gromadzący Polaków, Litwinów, Włochów i Niemców; kościół nowy w dzielnicy kolejowej, mający ludność prawie wyłącznie polską z domieszką litewskiej; kaplicę francuską z dwoma duchownymi Francuzami i kaplicę w zakładzie p. Drzewieckiej, prowadzonym w duchu ściśle katolickim, zakonnym.

Stosunki w kościele głównym przykre, stanowiące prawdziwą koronę cierniową dla proboszcza, Niemca, władającego jednak nieźle językiem polskim, utrzymującego ład i porządek w kościele. Kolonia polska pragnie proboszcza Polaka, mimo że poważnych zarzutów przeciw proboszczowi z racyi jego narodowości przytoczyć nie można.

Gdyby biskup oddał probostwo Polakowi, wtedy może inne narodowości czułyby się taką decyzyą pokrzywdzone, więc sytuacya na razie bez wyjścia. Stosunki więc kościelne niedobre, gorszą rozdźwiękiem; nie brak bowiem było ataków na proboszcza ostrych w prasie i na zgromadzeniach publicznych, wśród nieoświeconego ludu.

Kościół nowy ma ubogich parafian i tam spokojniej, bo i parafia bardziej jednolita narodowościowo; ten sam spokój panuje też w kościele francuskim. Napróżno jednak szukaćby w tych stosunkach czegoś — do czego my tu w kraju przywykli.

Z ambony w kościele francuskim zamiast słów miłości i przebaczenia, spływają słowa omal że nienawiści ku Niemcom, z którymi Francya wojuje. — Kazania pod względem formy i wygłoszenia bardzo piękne — rażą tym duchem nienawiści, obcym dzięki Bogu naszym kościołom galicyjskim.

Łączności między duchowieństwem w Odesie niema, chociaż wielu z nich mieszka pod wspólnym dachem na probostwie; każdy żyje życiem odrębnem.

Brak też w pracy zapału, ciepła, chociaż nie brak może dobrej woli; zaszczepione jednak przez dawny rząd prądy trwają i nie rychło dadzą się usunąć.

To też nie zupełnie swojsko czuje się przybysz ze stron naszych w kościele odeskim, o podjęciu zaś jakiejś pracy ściśle katolickiej niema mowy; nie zrozumie jej potrzeby ani inteligentniejsza ludność polska, nie znająca katechizmu i nie pragnąca go poznać i oczywiście nie interesująca się wcale sprawami Kościoła, ani też sam kler, który każdą akcyę w tym kierunku już z góry uważa, jeśli nie za niepotrzebną — to za niemożliwą do przeprowadzenia.

Rutyna panuje tu wszechwładnie i niepodzielnie, a że jest przytem i wygodna — więc nie łatwo ją usunąć.

Pewne wrażenie na duchowieństwie odeskiem i ludności wywarły rekolekcye, dawane w maju roku ubiegłego przez Superyora OO. Jezuitów we Lwowie X. Sopucha. — Wtedy można było widzieć, jak wdzięczną pracę miałyby klasztory, gdyby korzystając z wolności panującej obecnie w Rosyi, otworzyły tam swe domy i podjęły pracę misyjną w szerszym zakresie.

Do obudzenia życia katolickiego przyczyniła się następnie praca X. Bertranda Handla, proboszcza z Pozoritty na Bukowinie i gr. kat. księdza Pływaka z dyecezyi stanisławowskiej.

Ich wyczerpująca praca w konfesyonale, w stowarzyszeniach, a zwłaszcza na ambonie zaczęła wydawać owoce, gdyż gromadziła tłumy wiernych, zazwyczaj w kościołach odeskich na kazaniach w tak poważnej liczbie nie widziane. — X. Pływak przyciągał też prawosławnych, tłumacząc jasno i dobitnie różnicę między schyzmą a katolicyzmem i silnie akcentując jedność prawdziwego Kościoła, na czele którego stoi Papież rzymski.

Myślę, że skoro Kościół swe prawa wolnościowe w Rosyi ugruntuje, a biskupi uzyskają możność swobodnego działania i kontaktu z Rzymem — otworzy się pole szerokiej pracy dla duchowieństwa galicyjskiego i klasztorów, a nie wątpię, iż przyniesie ona błogie owoce, bo lud tamtejszy katolicki spragniony prawdy, szczerze do Kościoła przywiązany, a tylko bardzo pod względem religijnym, jak zresztą i pod innymi względami, nieuświadomiony.

Władysław Wrabec.

Z twórczości rewolucyjnej Gorkiego.

(Ciąg dalszy).

Tłum spędzony z placu, zatrzymał się na bocznych ulicach. Teraz nikt nie wiedział, co począć? Wrzenie wzmagało się na wszystkich punktach, przed wszystkimi wstawały kwestye niejasne na razie, ale każdy przeczuwał już ich ważność i nieodzowną potrzebę odpowiedzi. A w ogniu tego wrzenia coraz widoczniej powstawała wiara w pomoc zewnętrzną, nadzieja, że okaże się jakiś cudowny wybawiciel z nieszczęścia.

Powoli, ale stanowczo, tłum zmieniał swoją fizyognomię, przeobrażając się w naród. Młodzież rozchodziła się w niewielkich grupkach, wszystkie zaś one zmierzały zgodnie w jedną stroną, z powrotem ku rzece. Wszyscy nieśli

rannych, trupy. Dokoła czuć było zapach krwi ciepłej, rozlegały się jęki i okrzyki.

Cały pałac carski był otoczony nieprzerwanym łańcuchem piechoty. Tuż pod oknami pałacu biwakowała konnica. Zapach siana, woń gnoju i potu końskiego wionął od strony pałacu, brzęk szabel i ostróg, głosy komendantów rozlegały się pod samemi oknami.

Ze wszech stron napierali na żołnierzy zwartą masą ludzie, a raczej dziesiątki tysięcy wzburzonych, rozgniewanych ludzi, starając się przekonać żołnierzy o hańbiącej ich służbie katowskiej. Żołnierze słuchali w milczeniu tych przemów agitacyjnych, chociaż mowcy starali się usilnie przelać własne uczucia i myśli w ich serca:

— „Żołnierze! — mówił tęgi mężczyzna z długą brodą i jasnemi oczyma. Kto wy? Wyście dzieci ludu rosyjskiego. Zbiedniał lud, zapomniano o nim, pozostawiono go bez obrony, bez pracy i bez chleba. Więc poszedł dziś prosić cara o pomoc, a car każe wam strzelać do niego, zabijać. Żołnierze! Lud — ojcowie i bracia wasi, — prosi nie tylko o siebie, ale także o was. Was stawiają przeciwko niemu, przeciwko ludowi, pchają ku ojcobójstwu, bratobójstwu. Pomyślcie! Czyliż nie rozumiecie, że idziecie przeciwko sobie samym"?...

Na oficera spoglądano z nienawiścią. Słyszał drwiny, przezwiska, ale stał pod ich gradem wcale nieporuszenie. Jego wzrok martwo oglądał rotę, brwi z lekka drgały. Tłum szumiał. rozdrażniony spokojem, w którym można było wyczuć jawną pogardę dla ludu. W tem rozległ się dźwięk trąbki złowieszczo. Tłum patrzył na trębacza, w którego ręku trąbka drżała. Ludzie zagłuszyli dźwięki miedziane donośnym krzykiem, świstem, przekleństwami, wybuchami rozpaczy. Kilku ludzi rzuciło się na ziemię, inni zakrywali twarz rękoma, a człowiek o długiej brodzie, rozpiąwszy na piersiach płaszcz, stanął na czele, mówiąc coś bez przerwy, co wszelako tonęło, nie słyszane przez nikogo, w chaosie krzyków.

Rozległ się znowu huk salwy karabinowej. Tłum zachwiał się i rzucił się do ucieczki, zostawiając za sobą liczne trupy. Wszyscy wszelako czuli, że zaszedł jakiś ważny wypadek, że poza tymi trupami jest jeszcze coś tragiczniejszego dla żyjących od setek rannych i zabitych...

I chociaż Gorkiemu wiadomo, że w żadnym kraju europejskim tłum bosiaków i rozmaitego rodzaju przewrotowców, nie poważyłby się żądać w równie bezceremonialny sposób rozmowy z monarchą, a gdyby jej zażądał, nie otrzymałby jej równie, jak to się stało przed pałacem Zimowym, chociaż mu wiadomo, że w razie nieposłuszeństwa wojsko wszędzie strzela do upartego i rozhukanego pochodu demonstracyjnego, to cóż? Co tam zgniły Zachód wobec pierwotnej Rosyi?!...

— „Daj mnie żyć... jak sam chcę — powiada jeden z bohaterów Rosyi nowoczesnej w powieści Matka — a będę żyć cicho i nikogo nie zaczepię, na miły Bóg"!

Marzenia Gorkiego o wolności, właściwej chyba wyobrażeniom koni tabunowych, zostały szeroko uzasadnione w najobszerniejszej ze wszystkich jego powieści, w której wyłożył *per latum et longum* zasady programowe ideałów socyalistyczno-rewolucyjnych rosyjskich, które różnią się dyametralnie od takichże ideałów zachodnio-europejskich. Ale bo też postępowiec kulturalny różni się dyametralnie od pseudo-postępowców rosyjskich!...

Jako indywidualność aprioristyczna w swoich skrajnych poglądach, trwa Gorkij uparcie przy raz powziętych tezach. Najważniejszemi z nich są tyczące się miasta i życia robotników fabrycznych. Zarówno bowiem wielkie miasta, jak i zakłady fabryczne przedstawiają się Gorkiemu jako jakieś gigantyczne pożeracze robotników.

— „Każdego dnia nad dzielnicą robotniczą w zadymionem, tłustem powietrzu, huczał drżąco gwizdek fabryczny, a posłuszni wezwaniu, wybiegali z maleńkich czarnych domków na ulicę, jak przestraszone karakony, ociężali ludzie, którzy nie zdążyli odświeżyć snem swoich muskułów. W zimnym mroku szli po wązkiej, niebrukowanej ulicy, do wysokich kamiennych zabudowań fabrycznych. Błoto chlupało pod nogami, jak gdyby śmiejąc się, żałowało czegoś. Rozlegały się zachrypłe okrzyki sennych głosów, rozdrażnione wyzwiska przerywały powietrze — a naprzeciwko ludzi płynęły głuche dźwięki, ciężki ruch maszyn, niezadowolone warczenie pary. Ponuro i surowo majaczyły wysokie, czarne kominy, wznosząc się nad okolicą na kształt grubych pałek".

Dzień pochłaniała fabryka. Maszyny wysysały z muskułów ludzkich tyle siły, ile potrzebowały. Dzień był niejako wykreślony z życia. Człowiek postąpił o krok bliżej ku mogile, ale widział tuż przed sobą rozkosz wypoczynku, pijatyki w brudnym szynku i — był zadowolony.

W święta spano do godziny dziesiątej, poczem ludzie żonaci ubierali się w paradne ubranie i szli na mszę — wymyślając po drodze na młodzież za jej obojętność dla cerkwi. Z nabożeństwa powracali do domu, jedli i spali do wieczora. Znużenie pozbawiało ludzi apetytu i dlatego, ażeby módz jeść, pili wiele, rozdrażniając bezsilny żołądek silnemi oparzeniami wódki. Wieczorem wybierali się na przechadzkę, a za powrotem do domu kłócili się z żonami, nie szczędząc im bicia. Młodzież siadywała po knajpach, śpiewała wyuzdane piosenki, tańczyła, lżyła się i piła. Wyczerpani pracą ludzie upijali się prędko i dla wyładowania energii urządzali krwawe bójki.

W święta powracała młodzież do domu późną nocą w podartem ubraniu, obłocona i zabrudzona, z porozbijanymi nosami, chwaląc się po pijanemu bójkami. Niekiedy przyprowadzali młodzież do domu ojcowie lub matki. — Wyszukiwali synów na ulicach lub w knajpach pijanych do nieprzytomności, łajali ich ostatniemi wyzwiskami, bili kułakami, poczem układali ich do snu. Pomimo to pijaństwo i bójki młodzieży uważali ojcowie za objaw zupełnie naturalny, kiedy bowiem byli młodzi, pili również na umór i bili się między sobą, a i ich bili ojcowie i matki. Życie było zawsze jednakowe.

Czasami przychodzili do osady fabrycznej ludzie obcy, którzy wypowiadali nowe, nie słyszane dotąd tutaj zasady, wzbudzające u jednych rozdrażnienie, u innych bojaźń, a tylko wyjątkowo nadzieję niejasną lepszej przyszłości. Tych nieznajomych obawiano się, iżby nie rzucili w dotychczasowe życie czegoś takiego, coby zmieniło jego prawidłowy bieg, ciężki wprawdzie, ale spokojny. „Ludzie — powiada Gorkij — przyzwyczaili się do tego, iżby życie gnębiło ich zawsze z jednakową siłą i nie oczeku-

jąc żadnych zmian na lepsze, uważali wszystkie zmiany za zdolne zwiększyć tylko ciężar".

Takież samo było szare życie ślusarza fabrycznego Michała Własowa Był on wprawdzie dobrym rzemieślnikiem, ale też pierwszym siłaczem i zawadyaką w osadzie robotniczej. W stosunku z przełożonymi był grubianinem i z tego powodu zarabiał mało. W każde święto zbijał kogoś porządnie, to też wszyscy nienawidzili go i bali się. Kilkakrotne próby odwetu okazały w całej pełni przewagę Własowa jednego nad kilku nawet przeciwnikami. — Z żoną obchodził się brutalnie, nie nazywając jej nigdy inaczej, jak dobitnem określeniem *„swołocz"*. Jednej tylko istoty na świecie nigdy nie bił, nie łajał, ani nie pieścił. Szczęścia tego zaznał jego pies. Kiedy więc umarł, zniszczony ciężką pracą i pijaństwem, za trumną jego szli tylko: żona, syn, pies, jeden stary pijak i złodziej, oraz paru żebraków.

W dwa tygodnie po śmierci ojca nieodrodny syn jego Paweł powrócił do domu z hulanki niedzielnej pijaniusieńki. Wódka osłabiła jego ciało, ale nie odjęła świadomości. To też bolesne były dlań pieszczoty matczyne, tak, że na płacz wzbierało mu. Słowa matki, przestrzegające przed opilstwem, gdyż nieboszczyk ojciec wypił już za siebie i za syna, przyprowadziły go do równagi. Syn wracał odtąd do domu trzeźwy, zerwał ze znajomymi — stał się milczący i poważny. Nagła taka przemiana wzbudziła obawę w sercu matki. A obawa ta rosła z każdym tygodniem i miesiącem.

Nakoniec wszelako tajemnica musiała wyjaśnić się. Raz po kolacyi Paweł przerwał nagle lekturę książek, której od pewnego czasu oddawał się namiętnie i wdał się z matką w pogawędkę, z której okazało się, że czyta książki zabronione. „Zabraniają je czytać, wyjaśniał matce, dlatego, że one mówią prawdę o naszem robotniczem życiu. Drukują je tajnie i jeżeli znajdą je u mnie, wsadzą mnie do więzienia... do więzienia za to, że chcę wiedzieć prawdę".

Serce powiedziało matce, że syn jej poświęcił się jakiejś tajnej sprawie, grożącej w każdej chwili niebezpieczeństwem. Ale, że zawsze wszystko w życiu wydawało się jej nieuniknionem, że przywykła do bezmyślnego poddawania się wszelkim niespodziankom, przeto i teraz tylko cicho zapłakała, gdy syn jej tłumaczył:

— „Pomyśl, jak żyjemy? Masz już czterdzieści lat, a czyż żyłaś? Ojciec ciebie bił, teraz rozumiem, że on na twoich bokach wylewał swój ból, ból swego życia... ono dusiło go, a on nie rozumiał, skąd ono. Pracował trzydzieści lat, zaczął pracować, gdy cała fabryka mieściła się w dwu budynkach, a teraz jest ich siedm! Fabryki rosną, a ludzie umierają z pracy na nie".

Takich poglądów na swoje życie nie słyszała dotąd nigdy. A one obudzały w niej zagasłe niezadowolenie z życia, myśli dawno minionych lat. Dotychczas nikt nie wytłumaczył jej, dlaczego życie jest tak ciężkie? A teraz przed nią siedzi jej syn, który pojął do głębi życie swojej matki i lituje się nad nią. Wprawdzie nie rozumiała dobrze tego, co mówił Paweł, ale wyczuwała w jego słowach prawdę znajomą dobrze, przeżytą w łzach i bolu... W jej sercu pełno było dumy z takiego syna, który pragnie dla wszystkich szczęścia, który lituje się nad wszystkimi cierpiącymi i widzi ból życia, ale zarazem serce to matczyne powiedziało, że syn postanowił walczyć o jakieś nowe, lepsze życie dla wszystkich pokrzywdzonych, pozbawionych praw dotąd...

— „Ze strachu wszyscy przepadamy! A ci, którzy nami rządzą, wyzyskują ten strach i jeszcze więcej straszą nas! Zrozum-że, będą ludzie bać się, będą gnić, ot, jak brzozy na błocie. Trzeba nabrać odwagi, czas już!"...

(C. d. n.). *Dr. Stanisław Zdziarski.*

Kronika Kościelna.

Apetyt ludowców na dobra kościelne. Jak donosi „Piast", ludowcy radzili w Krakowie d. 28. i 29. kwietnia r. b. nad „reformą agrarną". Referentem był poseł Żardecki, który wniósł, żeby projektowana przez niego „reforma" oznaczyła:

a) Największy obszar ziemi, jaki jeden właściciel posiadać może na własność i tenże obszar ograniczyła do 200 hektarów, z tem, że suma wszystkich obszarów, liczących powyżej 100 hektarów ziemi uprawnej, nie może przenosić 10 proc. ziemi, pod uprawę użytej.

b) Likwidacyę dóbr martwej ręki z tem ograniczeniem, ażeby przy parafiach pozostawiono do użytku obszar 20 hektarów gruntu.

c) Wszelkie przywileje, dotyczące użytkowania ziemi, zostają zniesione".

Nie dowiadujemy się ze sprawozdania, podanego w „Piaście", czy śmiały ten projekt nie napotkał opozycyi pomiędzy uczestnikami obrad, czy zgadzają się na niego i ci członkowie stronnictwa, którzy w niem dotąd reprezentowali kierunek bardziej umiarkowany i nie chcieli wojny z Kościołem. W każdym jednak razie uchwała ta jest zapowiedzią, że ludowcy już całkiem otwarcie zamierzają wojnę tę prowadzić. Zabrano już wprawdzie Kościołowi największą część jego własności, ale przecież są jeszcze niektóre biskupstwa, są klasztory i probostwa, posiadające znaczne dobra ziemskie. Te mają im być odebrane i rozdzielone pomiędzy chłopów, bo zdaniem ludowców społeczeństwo nie ma z nich żadnej korzyści! Nie można się dziwić, że taka „reforma agrarna" uśmiecha się niejednemu, któryby chciał łatwym sposobem nabyć trochę ziemi; — ale czy ogół, czy naród cały wyszedłby na tem dobrze, — to wielkie pytanie. Mieszkańcom miast i innym obywatelom, nie mającym gospodarstw rolnych, dostarcza zboża i innych środków żywności przeważnie średnia i większa własność, która umożliwia produkcyę na większą skalę, na sprzedaż i na eksport; — włościanin rzadko produkuje wiele więcej po nad to, czego potrzebuje na wyżywienie siebie, swojej rodziny i czeladzi. Koszta administracyi są stosunkowo większe w małych gospodarstwach niż w wielkich; włościanin nie ma machin rolniczych itd. A dalej wielu posiadających już tyle hektarów, ile im pozwala mieć projekt ludowców, przestałoby pracować i oszczędzać, gdyby im odebrano możność powiększania swych posiadłości.

Są zresztą jeszcze inne względy bardzo poważne, które przemawiają przeciw projektowi p. Zardeckiego (jak np. wzgląd na stanowisko Polaków w Galicyi wschodniej), — nad którymi jednak nie potrzebujemy tutaj się rozwodzić.

P.

Z Poznania. Kółko homiletyczne. Bardzo dobrą myśl powzięli księża poznańscy, zakładając kółko, którego celem jest kształcenie się w kaznodziejstwie, a o którem pisze X. N. Cieszyński w „Wiadom. dla duch." (z 1-go b. m.) co następuje:

„Widząc między konfratrami naszymi w Poznaniu wybitne zainteresowanie się sprawami wymowy i kaznodziejstwa, powiedzieliśmy sobie, że należy chwilę sposobną wyzyskać i utrwalić ten piękny zapał. Więc 22. września 1916 r. zeszliśmy się w mieszkaniu jednego z konfratrów i założyliśmy Kółko homiletyczne. Było nas na początek pięciu, nie wielu, lecz chętnych i zapalonych dla sprawy. Z czasem wykreśliliśmy sobie program następujący:

Zadania Kółka homiletycznego obejmować mają:

I. Pogłębienie wiadomości z zakresu teoryi homiletycznej, czemu mają służyć

1. Referaty a) o dziejach b) idei c) zasadach kaznodziejstwa.

2. Wykłady a) z gramatyki b) stylistyki polskiej c) techniki i estetyki żywego słowa.

3. Sprawozdania z czasopism i dzieł homiletycznych.

II. Zapoznanie się z klasycznymi wzorami kaznodziejstwa: 1. z Ojcami Kościoła, 2. z kaznodziejami obcych narodów, 3. szczególnie z kaznodziejami polskimi.

III. Ocenę kazań własnych, 1. wygłoszonych, 2. do druku danych.

Tak przedstawiają się zadania Kółka homiletycznego w teoryi, a jak je Kółko w praktyce zastosowało?

Najmniej udawało się uwzględnianie punktu z programu: ocena kazań własnych, choć i w tym względzie skromne były początki. Za to wykłady i referaty wygłoszone czynią chyba dość wymaganiom programu. Oto pokrótce podajemy szereg najważniejszych:

O stylu kaznodziejskim. — O popularności kazania. — Kazania Świętokrzyskie (wykład drukowany w Nowej Bibliotece Kaznodziejskiej). — Kazania Gnieźnieńskie. — Dwa wykłady o gestykulacyi. — X. Bosko jako kaznodzieja. — Ośm kazań o Maryi Magdalenie, rozbiór i ocena. — Uwagi o błędach częściej zachodzących w kazaniach. — O uczuciu w kazaniach. — O artykulacyi. — O frazesach w kaznodziejstwie. — Biskupa Faulhabera „Waffen des Lichtes“. — O kaznodziejstwie w średniowieczu. — O kazaniach „Paterka“. — O kazaniach Hołowińskiego. — Dział homiletyczny w bibl. sem. duch. (X. Kantak). — Luźne uwagi (X. Kłos).

Prócz tych wygłoszono mniejsze referaty [1]).

„Zdrój“... bluzga na moralność. Od jesieni ub. r. tryska w grodzie Przemysława z nieznużonym rozpędem „Zdrój“ artyzmu i kultury polskiej, ukazuje się najpunktualniej w świecie czasopismo literackie, mające wybitnych współpracowników z całej Polski. Przy jego narodzinach był czynny, jeśli nie jako ojciec rzeczywisty, to przynajmniej jako ojciec chrzestny p. St. Przybyszewski z Monachium, pisząc książeczkę: „Poznań ostoją Polski“ i tęsknemi a twórczemi ramiony nawiązując do ery Berwińskich, Libeltów, Woykowskich (?!), by nowy dzień nowej kultury wskrzesił nad „polską Beocyą“, nad Poznańskiem.

Usiłowania szlachetne, ale budzące wątpliwości właśnie dlatego, że podjął je p. Przybyszewski, pisarz osławiony przynajmniej na całą środkową Europę. Gdy więc uderzono w Poznaniu na larum i urządzono prawie nagankę na monachijskiego przywódcę „Młodej Wielkopolski“, uląkł się — acz w zapasach zaprawiony bojownik i przedstawiciel nowych idei artystycznych i cofnął się, oświadczając, że krytycy nie mają łączyć jego nazwiska ze „Zdrojem“.

Niezadługo jednak zawisł znowu jako ciężki obłok nad „Zdrojem“, niestety, nie ku wzmożeniu i skrzepieniu jego sił. Począł bowiem głosić, że Kościół wstrzymywał postęp w nauce, że „jedynem kryteryum społecznej i kościelnej Etyki to: ordynarny pragmatyzm“, a jego — Przybyszewskiego — dzieła nawet pewnemu „dostojnemu ascecie-kapłanowi“ otwarły dopiero oczy na człowieka i nauczyły go dopiero słuchać spowiedzi — risum teneatis amici — Przybyszewski nauczycielem spowiedników, dalej opowiadać swoje nauki o metempsychozie, odgrzewać teoryę gnostyczną, słowem mącić w duszach skłonnych i tak już do obojętności religijnej.

Lecz była to dopiero przygrywka na zielonych stokach, skąd wytryskał „Zdrój“. Jaką kałużą bryznął „Zdrój“ w drugim zeszycie kwietniowym, to już przechodzi pojęcie, zwłaszcza nasze uczciwe wielkopolskie. Najpierw odrażają okropne, pornograficzne obrazy, które bliżej opisywać, wzdryga się pióro moje. A co może gorsze, to wstępny artykuł, urągający zasadom moralności. Napisał go Duńczyk z Reykjavik. Godmundar Kampban; — zbieramy z niego najszkodliwsze chwasty i podajemy w luźnej, cuchnącej wiązance.

„Moralność jest piekłem ziejącej siarki, w które jak we własne łono strąca swe ofiary...“ „Teologię i prawo poczytuje się do dziś dnia błędnie za nauki. Nie były one i nie będą nigdy niczem innem, jak dogmatami — dwiema wrogiemi wszelkiej myśli potęgami, na których się wspiera moralność“. „Niemoralny“ talent jest bardziej kompetentnym sędzią w rzeczach etyki, niż moralna przeciętność“.

I przeciwko takim zdaniom, ile nam wiadomo, żaden z naszych wpływowych dzienników głosu sprzeciwu nie podniósł dotąd, takie zdania sączą się w koła naszej inteligencyi i niby inteligencyi i jakkolwiek strumyki to tylko, wywołać mogą, wywołują spustoszenia, równające się spustoszeniom powodzi.

Czas założyć miesięcznik kulturalny, na katolickich oparty podstawach — a przynajmniej zgodny z katolicyzmem! *X. N. C.*

Osobliwi apostołowie. W „Głosie Narodu“ nr. 89 czytamy: We wsi Hołubla w pow. siedleckim znajduje się cerkiewka, niegdyś unicka, od dawna zamknięta. Mieszkańcy Hołubli chcieliby na swój koszt kościółek ten odnowić i utrzymywać przy nim księdza. W tym celu odnieśli się do naczelnika powiatu siedleckiego z odpowiednią prośbą. Naczelnik pruski odmówił stanowczo żądaniu, natomiast zobowiązał się natychmiast otworzyć cerkiewkę, jeśli mieszkańcy sprowadzą księdza unickiego. *(Z.)*

Nowy podstęp ruski. Z Warszawy donoszą do „Głosu Narodu“: Obiegają tutaj wieści, że Ukraińcy podjęli akcyę, mającą na celu informowanie wiedeńskich sfer katolickich i Rzymu i że w najbliższym czasie mają rozpocząć kroki w kierunku organizowania osobnego Kościoła ruskiego, który oderwie się od cerkwi prawosławnej i zbliży się do Rzymu, nie stając się jeszcze katolickim. Z czasem miałby Kościół ukraiński przejść do Kościoła katolickiego i przyłączyć się do Rzymu.

Fantazye te są zanadto bezpodstawne i nieuzasadnione, aby się zastanawiać nad niemi. *(Z.)*

Głos biskupa czeskiego w sprawie walki o prawa narodu. Biskup królogrodzki Dr. Doubrawa przemówił na zgromadzeniu katolików czeskich, które odbyło się w jego stolicy dnia 23. kwietnia r. b., o sporze czesko-niemieckim, a następnie streścił główną część swojej mowy w liście do prezydenta czeskiego stronnictwa katolickiego. List ten, ogłoszony w dziennikach, jest dokumentem historycznym wielkiej doniosłości. X. Biskup potępia stanowczo działalność przewrotną i zdradziecką prof. Masaryka i jego zwolenników, ale zarazem odpiera oskarżenia, zarzucające całemu narodowi czeskiemu solidaryzowanie się z ową działalnością. X. Biskup pragnie tak samo, jak „wszyscy uczciwi przodownicy jego narodu“, żeby ten na-

---

[1]) Por. „Prośbę do Autorów i Nakładców“ w G. K. nr. 17 z r. b. str. 202. Adres „Kółka“: Poznań, Dominikanerkirche X. N. Cieszyński.

ród uzyskał samodzielność, ale w ramach monarchii austryackiej, pod berłem dynastyi habsburskiej. Zabezpieczenie równych praw obu narodom, zamieszkującym kraje korony św. Wacława, czeskiemu i niemieckiemu i pokojowy rozwój przyczyni się z pewnością — według przekonania X. Biskupa — „do dobra wspólnej i niepodzielnej Ojczyzny i do potęgi państwa. Naród czeski dochował i w tym ciężkim czasie wojennym — jak zawsze — wierności i poniósł dla niej wielkie ofiary, za które mu cześć się należy“. Nikt nie ma prawa zarzucać mu zdrady z powodu pewnych wypadków odosobnionych. Tu zwraca się X. Biskup przeciw znanej mowie hr. Czernina, która musiała dotknąć boleśnie Czechów, bo mowca wspominał ogólnikowo o zdradzieckich dążeniach ich polityków, chociaż zastrzegł się, że nie chce oskarżać całego narodu, który pozostał wiernym.

Niemieckie pisma katolickie, a w szczególności „Kath. Kirchenzeitung“ i "Reichspost“ (która dużo wprawdzie popełniła błędów w ostatnich czasach, a zwłaszcza z tego powodu, że dała się oszukiwać Ukraińcom, ale jeszcze chce być uważana za pismo katolickie[1]), przywiązują słusznie wielkie znaczenie do tego listu i wyrażają nadzieję, że on przyczyni się do pojednania Czechów z Niemcami, którego pragnąć muszą wszystkie ludy monarchii.

[1]) W ostatnim zeszycie „Przegl. Powszechnego“ zamieścił X. Arcyb. Symon list otwarty do redakcyi tego dziennika, którego treść podamy w nrze następnym G. K. *Red.*

O kazaniach X. Michała Franciszka Karpowicza.

(1744—1805).

(Dokończenie).

Inną treść, inny charakter mają wymienione już „Kazania jubileuszowe“ Karpowicza. Są to wykłady o sprawach społecznych i gospodarczych, których osnowa zaczerpnięta jest (jak sam autor zaznacza w dopisku na str. 16) z głośnej wówczas książki margrabiego badeńskiego p. n. „Table raisonnée des principes de l'économie politique“. Oto nagłówki tych kazań:

I. O sentymentach ludzkości podczas jubileuszu w Wilnie z wyznaczonych materyi przez I. O. I. X. M. Biskupa.

II. O pretendowanym nad poddanemi niewolnictwie.

III. O powinney poddanym od panów sprawiedliwości.

IV. O powinney poddanym od panów miłości względem ich duszy, a zatym o powinności wyprowadzenia ich z tey grubości rozumu, w którey zostają i o szkołach parafialnych.

V. O powinney poddanym od panów miłości względem ich ciała przez wyprowadzenie ich z tey zbytniey podłości w odzieniu, pokarmie i mieszkaniu.

VI. Powinni panowie poddanym opatrzność w utrzymaniu ich przy dobrym gospodarowaniu, zatym w pilności nad ich gnuśnością, pijaństwem i utrat[illegible].

VII. Panowie powinni poddanym opatrzność w obmyślaniu im sposobów pomnażania ichże samych majątków, przez zaszczepianie ogrodów, wprowadzenie rękodzielów (sic!), narzędziów (sic!) lepszych, bydląt do roboty, obmyślania handlu, zawsze z ubezpieczeniem tegoż majątku.

VII. Powinni panowie poddanym ludzkość w traktowaniu z niemi w ich potrzebach, skargach, prośbach, sądach, karaniach.

IX. Powinni panowie poddanym miłosierdzie, wspomagając ich w ubóstwie. Projekt do tego.

X. O pożytku jubileusu, aby być sprawiedliwym dla siebie.

Otóż są to przeważnie tematy, nadające się do dyskusyi politycznych, do wykładów z katedry, na trybunę sejmową, ale nie na kazalnicę. Tak sądzą dziś wszyscy nauczyciele homiletyki. — Wielu wprawdzie mowców kościelnych prawiło o takich rzeczach najczęściej w wieku „Oświecenia“ i Józefinizmu, a nie brak i dzisiaj nauk treści podobnej, jednakowoż nie można ich uważać za „kazania“, bo te powinny mówić głównie o prawdach wiecznych i podnosić dusze słuchaczy ku wyżynom niebieskim. A tymczasem Karpowicz jest przekonany, że lepszych tematów nie można było nawet wymyśleć na ten czas jubileuszowy. Tak bowiem zapytuje w pierwszej swojej nauce: „Czyż może być kiedy i nam ściśleysza powinność mówienia i wam większa potrzeba o sentymentach ludzkości słuchania, jako w tych teraz razem zbiegłych okolicznościach, gdzie tu ludzkość za oświeceniem wiary i wieku wydobywa nayistotniejsze swe prawa z pod przywalin barbarzyństwa, dzikości i fanatyzmu, a tu przemyślne zepsucie pod pozorem poloru rwie naywalniejsze teyże ludzkości ustawy; tu natura ludzka zdaje się oddychać dopiero z tych uciemiężeń, któremi przez despotyzm, tyraństwo, niewiadomość i zabobonność była unikczemniona; a tu przewrotność w obrzydłych zapędzona chuciach, depce nayświętsze teyże natury prawidła pod hasłem wygórowanego w prawach jey oświecenia; tu nakoniec odgłos powszechny jest oświeconego świata, że się już przecież naród ludzki za przewodnictwem rozumu i religii przybliża do swych praw i do swey szczęśliwości; a tu świat pełen jest nieszczęśliwych, prześladowanych, wzgardzonych, zapomnianych, pokrzywdzonych, oszukanych, zgubionych i wzajem siebie gubiących“... i t. d.

Nie jest to zaiste duch Ewangelii, który przemawia z tych ciężkich okresów — jest to raczej duch Rousseau'a i jego zwolenników, są to hasła wielkiej rewolucyi francuskiej. Nie trudno też zrozumieć, czemu to czwarte kazanie jubileuszowe Karpowicza wywołało tak wielkie niezadowolenie u pewnej części jego słuchaczy. Doszło do tego, że na drugi dzień po tem kazaniu, wygłoszonem w kościele dominikańskim św. Ducha, jeden z Dominikanów z namowy szlachty wyszedł na ambonę i napiętnował je jako „maksymy herezyarchy Voltaire'a i szkodnika religii Rousseau'a. Kiedy jednak Karpowicz, dowiedziawszy się o tem, posłał kopię tego kazania do biskupa Massalskiego (swojego protektora) i do króla, a nadto przedłożył sprawę oficyałowi wileńskiemu Karpiowi, ten ukarał owego zakonnika suspenzą; — sam zaś Karpowicz ogłosił zaraz kazanie to osobno drukiem, żeby (jak pisze w przedmowie) ochronić „zdrową podług nayczystszey religii naukę od potwarzy“ i honor swój „od czarney złości pocisków“[1]).

Przesadził niezawodnie bardzo ów Dominikanin, kiedy zarzucił Karpowiczowi powtarzanie maksym heretyckich Voltaire'a i Rousseau'a; — Karpowicz nie popadł w herezyę, ale uległ poniekąd wpływom zapatrywań, które panowały w wieku „Oświecenia“. Dlatego wyrażał się niechętnie o odpustach, pielgrzymkach[2]), o wprowadzaniu nowych nabożeństw, a za to wtórował politykom i ekonomistom, zalecającym reformy, które miały podnieść warstwy najniższe pod względem umysłowym i materyalnym. Dlatego zwracał się do rodaków z takiem gorącem wezwaniem: „O obywatele! Jeżeli dobro swe własne kochacie, jeżeli szczęśliwości swey i swych poddanych pragniecie, nie obrócicież na to swey usilności, aby skuteczność tym ustawom o szkołach parafialnych przyspieszyć? Coby to za odmiana kraju naydaley w lat 20 stanęła, gdyby nie było żadnego chłopka, którym nie umiał czytać, pisać, rachować, któryby się z gruntu i z reguł, że tak powiem, nie znał na agrikulturze czyli rolnictwie? Coby za pomnożenie było ludności, gdyby znano sposoby zabiegania chorobom nayczęściey panującym i naywięcey dzieci po wsiach gubiącym, jako ospy, gruczoły, choroby żołądka, febry, maligny, które wiele tysięcy dzieci corocznie z każdej prowincyi z tego świata zprzątają“?

Temu nikt nie zaprzeczy, ale nie potrzebujemy chyba dowodzić, że nie o tych właśnie rzeczach ma pouczać kaznodzieja. O nauczaniu religii wypowiada tu autor tylko parę zdań (na końcu), a zwłaszcza kładzie nacisk na to, że należy wykazywać ludowi „nie-

[1]) Por. X. Jougana dz. prz. str. 93 nn.

[2]) Księża powinni według niego rolników „ufundować w pracowitości, pokazując nieprzyzwoitość (!) włóczenia się po odpustach, kompaniach, na miejsca mniemane cudowne; przestrzedz ich o zmyślonych (?) przywilejach i odpustach zbytecznych (!), z nieba jakimkolwiek zgromadzeniom, konfraterniom albo bractwom nadanych“ itd.

przyzwoitość (!) włóczenia się po odpustach, „na miejsca mniemane cudowne“ (str. 99), główną zaś treść kazania stanowi zachęta do oświecania wiernych w rzeczach doczesnych: „Mówić, że rolnikom są niepotrzebne nauki i oświecenie, jest to nie znać ceny rozumu, nie znać gruntu ludzkiej natury, nie znać własney swey krajowey szczęśliwości, albo raczey jest to tchnąć ową grubą dzikością, aby lud trzymając w niewiadomości i ślepocie, tym mocniey go trzymać w kaydanach niewoli i despotyzmu. Te to barbarzyńskie mniemania, oddalające chłopków od wszelkiego oświecenia rozumu i nie chcące z nich mieć inszey posługi, prócz machinalnego tylko, do ciężkiey pracy, rąk instrumentu i materyalnej ciała sposobności, obalają ludzkiey natury godność, tłumią i swóy i krajowy pożytek, szkodzą potrzebom całego państwa, a gwałcąc prawa natury, Ewangelii i polityki, depcąc sentyment rozumu, ludzkości i serca, przywracają brzydkość okropney dziczy i stawią na nogach despotyzm, na wzór ciemnego Mahometa i jego Alkoranu!“ itd. (str. 81 n.).

Wzorem dla Polaków powinien być według Karpowicza w tym względzie Piotr Wielki, który „Europę całą zadziwił, podniószszy swóy naród do zupełnej chwały i szczęśliwości (?!) przez oświecenie poddanych i zaprowadzenie tam nauk każdemu stanowi przyzwoitych“ (?! str. 83). To zdanie dowodzi grubej nieznajomości historyi i stosunków rosyjskich i można je przytoczyć jako przykład, przemawiający przeciwko wprowadzaniu polityki na ambonę[1]). Jakże te słowa musiały oburzyć słuchaczy, znających Rosyę i widzących niebezpieczeństwo, które od niej zagrażało Polsce!

W siódmem swojem kazaniu jubileuszowem zajmuje się autor wyłącznie ekonomią: mówi o podniesieniu rolnictwa, o koniach polskich, które były niegdyś sławne, a teraz prawie już wyginęły, o „odnowieniu lepszych narzędziów (sic) i bydląt“, o wolnym handlu, przytacza z Gulliwera (!) słowa króla: „Dajcie mi takiego człowieka, któryby umiał dwa kłosy tam wyprowadzić, gdzie jeden tylko się rodzi, a ja więcej go ważyć będę nad wszystkich polityków i najbieglejszych waszych gabinetowych ministrów“ (str. 152). O prawdach wiecznych, o obowiązkach religijnych niema tu nawet mowy!

Z tego wszystkiego widzimy, że Karpowicz nie może być dla nas wzorem, ale raczej nauczyciele homiletyki znajdą u niego liczne przykłady, które warto przytoczyć dla przestrogi uczniów, żeby unikali błędów podobnych. *X. A. P.*

Bibliografia.

Św. Alfons Marya Liguori. **O miłowaniu Pana Jezusa w życiu codziennem.** Przetłumaczył z włoskiego X. Adolf Żółtowski C. SS. R. Poznań 1818. Księgarnia św. Wojciecha. Stron 300. — Cena 4·50 mk.

Z szczerą radością donosimy o pojawieniu się znakomitego dzieła św. Alfonsa w przekładzie polskim. Jest to niewątpliwie jedna z najlepszych książek ascetycznych, która powinnaby znajdować się w każdym domu katolickim, mogą ją bowiem czytać z wielkim pożytkiem i ludzie wykształceni i prostaczkowie. Przekład X. Żółtowskiego jest bardzo staranny i piękny. *X. P.*

Jungfräulichkeit, ein christliches Lebensideal. Gedanken für Priester und gebildete Katholiken von Dr. Kaspar Scholl, Domvikar in Köln a. Rh. Zweite und dritte Auflage. 8º (VIII. i 238 str.), Freiburg 1917. Herdersche Verlagshandlung. M 2·80; opr. M 3·60.

Jest to dzieło bardzo poważne i cenne, oparte na studyach głębokich i wszechstronnych. Autor uwydatnia doskonale charakter i znaczenie, które ma panieństwo dla życia jednostek i całego społeczeństwa ludzkiego. A więc mówi najpierw o istocie panieństwa, dalej o „drodze“ do niego prowadzącej, o błogosławieństwach, które ono sprowadza, a wreszcie zbija zarzuty, podnoszone przeciwko niemu ze stanowiska fizyologicznego, etycznego, teologicznego i historycznego. Wywody jego są zawsze spokojne, pełne godności, szlachetnie wytworne i dlatego mogą znaleźć chętnych czytelników także w kołach protestanckich, tem bardziej, że autor cytuje często niektórych myślicieli z ich obozu, jak n. p. Paulsena. Bardzo dobrze broni on celibatu kapłańskiego (p. str. 184 nn.). W jednem miejscu (na str. 98) cytuje także Smolki „Die reussische Welt“; — szkoda tylko, że nie skorzystał z bardzo obfitego materyału, którego mogła mu dostarczyć tu książka do rozdziału o celibacie kapłanów (zdaje się, że jej jeszcze może nie czytał). Praca ta nadaje się na lekturę duchowną i zawiera też dużo myśli, z których można korzystać w kazaniach. *X. P.*

Wacław Sieroszewski: **„Małżeństwo“**. wyd. II.

Większa nowelka, czy szkic powieściowy. Jest protestem przeciw uświęconym formom pożycia małżeńskiego. A „małżeństwo“ tu opisane — to „wolna miłość“ Stefana Mirskiego i Zofii. — na Jakutach. *X. H. W.*

Wincenty Rapacki, syn. **„Humoreski“**. Warszawa — Lwów, 1917. ilustr.

Z życia artystów, melomanów, studentów. Przebłyski prawdziwego humoru nie rzadkie. Obrażających skromność dowcipów czy rycin — niema. *X. H. W.*

Muzeum sztuki kościelnej w Tarnowie.

W przykrych nad wyraz warunkach przychodzi Muzeum dyecezyalnemu w Tarnowie święcić w tym roku trzydziestolecie swego istnienia. Po tylu latach zdawałoby się, że oszczędzone powinnyby mu być przynajmniej troski o właściwe przechowanie nagromadzonych skarbów i wogóle o przyszłość, zapowiadającą się bardzo niepomyślnie. Jak jednak inaczej przedstawia się sprawa w rzeczywistości! O niewesołym stanie rzeczy przekonać się miałem sposobność niedawno na własne oczy.

Pierwsze na ziemiach Polski muzeum dyecezyalne sztuki kościelnej zawdzięcza, jak powszechnie już wiadomo, pomysł, powstanie i kierownictwo swe Czcig. X. Infułatowi dr. Józefowi Bąbie — pierwsze też ono z muzeów prowincyonalnych w Galicyi, która następnie za przykładem dobrym zdobyła się na jeszcze kilka innych. O zniszczeniu muzeum w Tarnopolu i Kołomyi donieśliśmy już swego czasu. Teraz chcemy zwrócić uwagę na niebezpieczeństwo, grożące tarnowskiemu.

Oryginalny był pomysł X. Bąby stworzenia w Tarnowie przytułku zacisznego i bezpiecznego dla niszczejących zabytków sztuki kościelnej u nas. Niema dziś już może w Polsce uczonego, któryby nie znał zbiorów tarnowskich, nie istnieje też żadne muzeum stołeczne, któreby nie pragnęło zdobycia dla siebie tych zbiorów i to w komplecie. W zbiorach tych bowiem umieszczenie znalazły przedmioty tylko i wyłącznie doborowe, wartości bez zastrzeżeń muzealnej.

Zanim w r. 1888 r. przyoblekł X. J. Bąba piękny swój pomysł w czyn — lata całe poświęcił poważnym studyom fachowym w dziedzinie rozpoznawania wartości zabytków, odpowiedniego ich restaurowania i umiejętnej konserwacyi. Ukochawszy sam pamiątki przeszłości, zapragnął z pomocą ich wzbudzić umiłowanie to i u tych, co najczęściej z niemi mają do czynienia. Jako rektor seminaryum duchownego, drogiej sobie młodzieży przedewszystkiem poświęcił swe dzieło. Muzeum dyecezyalne, według intencyi jego, miało się stać praktyczną szkołą rozpoznawania i należytego rozumienia wartości dzieł sztuki przez kapłanów, którzy raz wtajemniczeni w znaczenie ich, najlepszą ustanowić mieli ochronę dla nich w interesie tak Kościoła, jak i narodu całego. Praktyka późniejsza okazała, iż zamysły te piękne nie miały pozostać ziarnem, rzuconem na glebę nieurodzajną.

Dzielnymi pomocnikami w realizowaniu dzieła, pomyślanego tak wszechstronnie, okazali się wnet wychowankowie seminaryum duchownego i im to zawdzięcza muzeum tarnowskie większość swych cennych okazów — była to najdzielniejsza podniela do dalszej dzia-

[1]) Por. „Przepisy Kongregacyi Kons., dotyczące urzędu kaznodziejskiego“ w G. K. z r. 1917, str. 242 i 253.

talności. W rezultacie społeczeństwo całe otrzymało przez ręce X. J. Bąby dar iście królewski: ile on wart, wie każdy, kto miał sposobność oglądać bogatą tę galeryę obrazów na płótnie i drzewie, szeregi rzeźb wspaniałych, a nadewszystko skarb bezcenny prześlicznych tkanin, największej ozdoby muzeum tarnowskiego, nie wspominając już o bezliku przedmiotów mniejszych rozmiarów, tudzież o pięknej bibliotece fachowej i zabytkowej. Jednem słowem, muzeum wyposażone zostało dzięki ogromnej wiedzy i niestrudzonym zabiegom organizatora we wszystko, co je postawić powinno w rzędzie najpoważniejszych u nas. Złożyło się jednak niestety tak, iż ono znalazło się teraz w warunkach jak najgorszych. Z początkiem wojny groziło im na żądanie pewnego lekarza wyrzucenie wprost na podwórze dla zyskania obok stu innych dwu jego sal na szpital. Ledwie zabiegom X. Bąby udało się zmagazynować okazy w bibliotece seminarskiej, gdzie pozostawały przez czas inwazyi rosyjskiej. Następnie złożono je z powrotem w trzech salach dawniejszych, ale nie pomoże im to wiele, bo wilgoć, dochodząca do połowy ścian, fatalnie oddziaływa na deski zamalowane, na płótna, tkaniny i książki. Z ogromną troską o całość zbiorów skarżył się X. Bąba na legiony moli, gnieżdżących się w dwu wielkich gobelinach; — o fatalnym wpływie wilgoci świadczą szeregi całe popękanych desek, z których dosłownie sypie się powłoka farb starych. Na nic się nie zdały białe opatrunki, nałożone na nie przez jakiegoś konserwatora z Krakowa, ponieważ wilgoć dalej dokonuje nieubłaganie dzieła swego.

O zawartości muzeum tarnowskiego pisano już nieraz i dobrze znane jest ono archeologom, chociaż bynajmniej nie wyzyskane jeszcze dla nauki. Najbogatszy dział jego stanowią tkaniny, których amatorem i znawcą jest X. Bąba pierwszorzędnym. Dla informacyi Czytelników przejdziemy pokrótce całość zbiorów, wyszczególniając rzeczy najcenniejsze z żalem, iż nie możemy ich reprodukować dla naocznego wykazania, czem są dla sztuki naszej i jaka ich wartość naukowa. Ilustracye odpowiednie znaleźć jednak można w niektórych opisach muzeum, co na końcu zaznaczamy, pragnąc przekonać, iż alarm podniesiony celem ratowania zbiorów, bynajmniej na zignorowanie — jak u nas zwyczajnie bywa — nie zasługuje.

W 1888 r. zwrócił się X. J. Bąba do swoich byłych uczniów, kapłanów w dyecezyi tarnowskiej, z prośbą o moralne i materyalne poparcie nowo powstającej instytucyi. Odzew ten nie pozostał bez skutku, bo dawni wychowankowie seminaryum złożyli w przeciągu lat niewielu kwotę 15 tysięcy koron na potrzebne urządzenie sali i zakupno zabytków. Początkowo umieszczono zbiory w wielkiej sali na pierwszem piętrze budynku seminaryjskiego, następnie przeniesiono je do sal parterowych w lewem skrzydle gmachu. Stały one od zaczątków swych pod protektoratem X. Biskupa, a zarządzał nimi kustosz, którym długie lata był sam X. Bąba. Uposażenie jego przed wojną polegało na rocznych subwencyach tarnowskiej kasy oszczędności.

Jak już wspomnieliśmy, chlubą muzeum jest jego dział tkanin i haftów, najbardziej przez założyciela lubiany. Ciekawe rzeczy opowiada X. J. Bąba o zdobyciu niejednego okazu. Bywało tak, iż pyszny dywan charakteru wschodniego, jednak pochodzenia z fabryki polskiej, wydobywało się z pod nóg ludzi w przedsionku kościoła, albo też z części pokrajanych do rozmaitego użytku zestawiało się wspaniałą całość, dziś ozdobę zbiorów. Nie mało zdumienia wywoływało załatwianie przez X. J. Bąbę spraw podobnych, bo nierzadko pojąć nie mógł ten i ów pleban, jak za „stare szmaty“ można było ofiarować do kościoła nowiuteńki dywan wiedeński; — starożytny po odczyszczeniu, odnowieniu i ewentualnie uzupełnieniu dostawał się do muzeum, a kościołowi nie działa się krzywda, ponieważ dla swego użytku otrzymywał nowy, nadający się na długie lata do użycia. Bywało podobnie i z ornatami, kapami, szatami kościelnemi — o każdym okazie w muzeum arcyciekawych rzeczy dowiedzieć się można od X. Bąby.

Od niechybnej zagłady uratowany został piękny dywan wschodni z wełny strzyżonej z kościoła w Zawadzie pod Dębicą, niegdyś własności Radziwiłłów, posiadających na Litwie fabrykę tego rodzaju wyrobów. Dwa wielkie gobeliny z kościoła w Łękach w dyecezyi tarnowskiej, zrestaurowane w Krakowie, przypadkowi też zawdzięczają swe uratowanie, ale dziś gryzą je mole, z którymi nie sposób się uporać. Inny gobelin, flamandzki, z klasztoru OO Kapucynów w Sędziszowie, załatany ma środek kawałkiem gobelinowym o ornamentacyi renesansowej, najprawdopodobniej wyrobu polskiego. Z kościoła w Muszynie pochodzi pięknie ornamentem renesansowym dekorowana skóra t. zw. kurdybanowa.

(Dok. nast.). *B. Janusz.*

Jeszcze o „Krzyku“ Przybyszewskiego.

Kto czytał uważnie ostatnią powieść osławionego autora z nad Izary, a mianowicie jego autobiografię „W zwierciedle“, stanowiącą wstęp do powieści i patrzy na twórczość powieściopisarza ze stanowiska katolickiego, zdziwi się niemało pochwałami, jakie o Przybyszewskim wypisuje p. B. Janusz na łamach Gaz. Kość. w nrze 16 z r. b. Czytamy tam: „Za dobra to rzecz, by mogła podobać się ogółowi pożeraczy wszelkich nowości literackich“... Tym razem sprawił autor „Krzyku“ rozczarowanie chmarom podlotków i innych czytelniczek, bo zażądał od nich rozkoszowania się pięknem prawdziwem, nie ukrytem w tabule tłustej jak brylant w gnoju, zażądał od nich towarzyszenia sobie krok za krokiem w wędrówce po ciernistej dla nich drodze wytężonej pracy umysłowej“.

Zaczepiając te pochwały, nie myślimy twierdzić, że powieść grzeszy naturalizmem dawniejszych znanych utworów, że niema ciekawych zagadnień psychologicznych à la Poe i artystycznych nowoczesnych, ale pragniemy okazać drugą stronę medalu, którą Recenzent pominął, a która nas duchownych i wogóle wychowawców żywo obchodzi.

Autor zwyczajem swoim wprowadza nas znowu w zakamarki duszy chorobliwej; mniejsza o to, ale znowu włóczy nas po zaułkach i kątach wielkomiejskich, w jakiejś kawiarni „pod dzikim Rysiem“, gdzie się bawią męty społeczeństwa, gdzie się biją, gdzie jakiś gogo posadził sobie niesforną kobietę na kolana, która nogą wypukiwała takt muzyki na stole, przyczem „bustała się w dość nieprzyzwoity sposób“ (str. 107), maluje tingle tangle czy bordel i jakiś taniec, którego opisywać wzdryga się moje pióro (149) — i tak każe nam żyć przynajmniej przez trzy czwarte powieści tem strasznem życiem nocnem. A nad całą powieścią rozpościera omierzłą płachtę chorobliwego uczucia i szydliwego wstrętu do życia.

O tych ponurych stronach powieści p. B. J. nie wspomniał, a pisząc w Gaz. Kość., naszem zdaniem powinien był wspomnieć, żeby księża i wogóle czytelnicy znali milieu i niebezpieczeństwo powieści.

Gorsza jeszcze sprawa z autobiografią, która według p. Recenzenta „uderza zrazu swym paradoksem, ale powoli zyskuje coraz więcej wiary, a nawet w końcu i przekonywa prawie“ — chyba p. B. Janusza, bo nas przeciwnie oburza uporem i dziwną jednostronnością artystyczną. Ograniczymy się tylko do końcowego niemal ustępu autobiografii „W zwierciedle“ i oddajemy głos autorowi, by nas nikt nie pomówił o stronniczość lub niezrozumienie autora. Oto, co pisze p. Przybyszewski, zaznaczywszy, że Ewers, autor pornograficznej „Alrauny“ [1]), do której pisał przedmowę, jest mu „swoją drogą bardzo zbliżony“ (str. 37).

„Może być, oto słowa autobiografii, że wniosłem do literatury polskiej „nieczysty“ ton, jak mniema zasłużony profesor Bruckner w swej „Historyi literatury polskiej“, a przed nim i z nim razem twierdzą i prawdopodobnie twierdzić będą to samo wszyscy nasi historycy i krytycy literatury, może być, że byłem szkodliwym dla młodzieży i społeczeństwa — a któż nie był z samoistnych twórców, począwszy od Sokratesa, uwodzicielem młodzieży i zbrodniczym przełamywaczem „praw“? Może być, że mój tragiczny pesymizm płciowy zatruł czyściuteńkie dusze dziewic polskich, niejednemu smarkaczowi kazał się powoływać na mój aksiomat (!), że „niema winy“ a wskutek tego nie pojmuje „kary“ — ale cóż mnie to obchodzić może?

Idę moją drogą, ale cel jeszcze daleki — i już z niej nie zboczę.

---

[1]) Nawet „Zeischrift fur Bücherkunde“ uznała ją za pornografię.

Potomność o tem wyrokować będzie! Mógłbym z emfazą wykrzyknąć — śmieszne!“ (str. 37).

Pokorny św. Augustyn, wobec którego Przybyszewski karłem tylko, pisał pod koniec życia swoje Retractationes, gdzie poprawia błędy popełnione w swych dziełach, lecz autor z nad Izary, nazywając Augustyna „chorobliwym ekshibicionistą“, podoboie jak Rousseau'a, Casanowę i Strindberga, woła tylko, pogardliwie odymając usta: „A cóż mnie to obchodzi?“

My w Poznaniu nie dziwimy się już Przybyszewskiemu — znamy go ze „Zdroju“ [1]) jako człowieka jeszcze niebezpieczniejszego. Potrąciwszy w swej książce „Szlakiem duszy polskiej“ o idee modernistyczne, głoszone już dawniej na łamach tego pisma, które w ostatnim szczególnie numerze okazuje się pornograficznem, jakieś idee o metempsychozie, odgrzewał teorye gnostyków, oskarżał Kościół o hamowanie swobody naukowej.

A takiemu pisarzowi nie chciał chyba p. B. Janusz na łamach katolickiego pisma robić reklamy! *X. N. Cieszyński.*

Z Rzymu.

Możliwość dyspenzy od postu eucharystycznego Na prośbę Arcybiskupa kolońskiego oświadczył Ojciec św. Benedykt XV. gotowość udzielania w pewnych wypadkach dyspenzy od postu eucharystycznego kapłanom archidyecezyi wymienionej: księża, którzy muszą binować, dlatego, że druga msza jest potrzebna, żeby wierni mogli spełnić obowiązek uczestniczenia w św. Ofierze, mogą, jeżeli niema drugiego kapłana, któryby bez tej dyspenzy mógł drugą mszę odprawić, — jeżeli wreszcie druga msza ma być odprawiona, w miejscu, znacznie oddalonem od miejsca pierwszej, mogą za pośrednictwem Ordynaryatu otrzymać od Ojca św. taką dyspenzę; — mają tylko podać wspomniane okoliczności i ilość wiernych, którzyby pozostali bez mszy, a nadto dołączyć świadectwo lekarskie („Kirchl. Anzeiger für die Erzdiöse Köln“, 1917, 43, — przyt. w „Pastor bonus“ za maj r. b. str. 373). — Wiadomość ta zainteresuje niezawodnie i naszych kapłanów, binujących tak często w kaplicach, oddalonych o kilkanaście kilometrów od kościoła parafialnego.

Red.

Z lwowskiego Koła XX. Katechetów.

Zawiadamia się XX. Katechetów szkół wydziałowych męskich i żeńskich we Lwowie, że o terminach Bierzmowania uczniów tych szkół będzie mowa na posiedz. Koła dnia 15. b. m.

Na fundusz prasowy Tow. wzaj. pom. kapłanów złożyli XX.: Józef Przybyła (z Boguchwały) 41 K, Dr. Paweł Rytko (z Międzybrodzia) 20 K, Jan Wojtowicz (z Jaryczowa) 13 K, Jan Eselt (ze Lwowa) 20 K, Joachim Motykiewicz (z Szymwałdu) 20 K.

Wiadomości dyecezyalne.

Archidyec. lwowska ob. łac.

Instytucyę kanoniczną na prałaturę scholastyka w kapitule metropolitalnej otrzymał X. Infułat Dr. Bolesław Twardowski, prałat domowy J. Św., dziekan i proboszcz w Tarnopolu.

Instytucyę kanoniczną na probostwo w Baworowie otrzymał X. Karol Procyk, ekspozyt w Soroczku.

Administratorami parafii mianowani: w Tadaniu X. Aureli Fuchs, w Pojana Mikuli X. Józef Garbicz.

[1]) P. wyżej w Kronice. (Dop. red.).

Przeniesiony X. Filip Franków Kmita, administrator w Baworowie, na posadę kooperatora do Trembowli; posadę kooperatora w Pomorzanach otrzymał X. Antoni Faranowski, neomysta.

Konkurs na opróżnione probostwo w Tarnopolu rozpisano z terminem do końca lipca b. r.

Zmarli X. Stanisław Matraś, jubilat, kapłan dyecezyi lubelskiej, długoletni kapelan SS. Miłosierdzia w Założcach, w 82 roku życia, a 58 r. kapłaństwa (zmarł jeszcze 11. lutego 1917); X. Mikołaj Kulczycki, proboszcz w Tadaniu, w 55 roku życia, a 26 roku kapłaństwa. — *R. i. p.*

Archidyec. lwowska ob. orm.

Odznaczony exp. can. X. Dyonizy Kajetanowicz, proboszcz w Śniatynie.

Dyec. przemyska.

Odznaczony rok. i mant. X. Józef Pospisil, kapłan archid. ołomunieckiej, kierownik ck. Superyoratu polowego w Przemyślu.

Powołany do wojskowej służby duszpasterskiej X. Ignacy Sikora, wik. ad pers. w Borku Starym.

Dyec. tarnowska.

Prezentę na prob. w Chronowie otrzymał X. Antoni Gliński, tamtejszy administrator; X. Stanisław Grzyb, wik. katedralny w Tarnowie, na prob. w Książnicach.

Odznaczony rok. i mant. X. Wojciech Śnieżnicki, prob. w Brzeźnicy.

Zrezygnował z probostwa w Tylmanowej X. Marcin Kołodziej i otrzymał urlop półroczny dla poratowania zdrowia.

Administratorem w Tylmanowej zamianowany został X. Józef Rojek, wik. z Łącka.

Przeniesiony X. Władysław Kuropatwa z Krościenka do Łącka.

Urlop dla poratowania zdrowia otrzymał X. Alojzy Skibniewski, wik. w Trzcianie.

Korespondencye redakcyi.

X. N. C. w P. Artykuł „Błędne drogi“ i inne nam przysłane, będą w najbliższym czasie. Posłaliśmy nr. żądany. — *P. M. B. w Kr.* Artykuł zamieścimy jak najprędzej. — *X. J. M w Kol.* Czy X. Dobr. dostał 75 K, które posłaliśmy przed kilku tygodniami? Odbitka jeszcze nie gotowa. — *X. R. B. w P.* Posłaliśmy nr. żądany; — teraz dość często nry nie dochodzą bez naszej winy. — Czeków nie mamy. — *X. St. R.* Statutu wiedeńskiego „Emeritenverein“ nie mamy.

Własność Towarzystwa Wzajemnej Pomocy Kapłanów.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor: X. Dr. Aleksander Pechnik. Z drukarni J. Chęcińskiego we Lwowie, ul. L. Sapiehy 77.